

Ladakh – wyprawa studyjna latem 2014

Wiesław Piechocki

Ladakh jest szczególnym terenem Indii z punktu widzenia zarówno turystycznego (najbardziej na północ leżącym regionem kraju) jak i kulturowego. Bowiem tu zachował się buddyzm. Jest to znana anomalia historyczna: buddyzm jako najstarsza religia o zasięgu światowym, zrodzona na ziemi hinduskiej, około 600 lat przed chrześcijaństwem, została w przeciągu wieków wyparta przez hinduizm ze swych tradycyjnych regionów i ostała się praktycznie w swej oryginalnej postaci właśnie jedynie monolitycznie w Ladakhu oraz na innych terenach Azji.

Ladakh zatem, podobnie jak Bhutan, zachował buddyzm w postaci historycznie „czystej”. Kto pragnie bliżej poznać architekturę, klasztory, liturgię, kontekst socjologiczny religii stworzonej w północnych Indiach, powinien udać się do małego miasta Leh, położonego 3500 m, czyli wysoko w Himalajach, przechodzących tam w kierunku krajów ościennych, do Pakistanu i Chin, z którymi, jak wiadomo, Indie nie utrzymują zbyt przyjaznych stosunków politycznych.

Wyprawę tę zorganizował duet entuzjastów i zarazem znawców buddyzmu i Indii. Mam tu na myśli dra Umesha Nautiyala, prezesa Indyjsko - Polskiego Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Kultury, lektora języka hindi na krakowskim Uniwersytecie Jagiellońskim, autora wydanych w 2014 roku „Rozmówek w języku hindi” oraz dra Janusza Krzyżowskiego, wieloletniego prezesa oddziału warszawskiego tego Stowarzyszenia, nagradzanego wielokrotnie za zasługi na polu krzewienia kultury tego subkontynentu azjatyckiego w Polsce. Pierwsza wymieniona osoba jest Hindusem, zakorzenionym w Polsce, a druga wielbicielem Indii, propagującym od lat w swych licznych publikacjach (albumy, książki, eseje i artykuły) cywilizację Indii *in extenso*.

Grupa pod przywództwem organizacyjnym i intelektualnym dwu wymienionych osób, liczyła 15 członków, sama mając charakter eklektyczny, zarówno wiekowo jak i profesjonalnie. W niej spotkali się turyści z różnych miejsc Polski. Większość osób była już raz lub wielokrotnie w północnych Indiach, mniejszość wyruszyła w Himalaje premierowo. Elementem scalającym była głęboka chęć poznania na miejscu tak szczególnego terenu z punktu widzenia religioznawstwa. To wpłynęło na szybki proces integracji w grupie.

Celem Himalaje

Dnia 26 czerwca 2014 wylecieliśmy z Warszawy via Dubaj do New Delhi. Po dniu spędzonym w rozgorączkowanej upałem stolicy Indii, ruszyliśmy w dalszą drogę, czyli ponownie znaleźliśmy się na wspaniale rozbudowanym i funkcjonującym lotnisku w New Delhi. Odlot o godz. 5:10 rano... Polecieliśmy do wspomnianej stolicy Ladakhu, czyli do miasteczka Leh. Tym razem lot trwał krótko, ledwie 80 minut. Lotnisko w Leh jest małe ale o rozwijającej się infrastrukturze, obsługując gwałtownie rosnącą rzeszę turystów z całego świata, pragnących tak jak grupa polska, poznać ten oryginalny zakątek Indii. A kraj ten proponuje wszak konkurencyjnie inne atrakcje na swych niezmiernych obszarach.

Z samolotu, dzięki bardzo słonecznej pogodzie, od rana, widzieliśmy pod nami niekończące się łańcuchy Himalajów, skrzących się śniegiem i lodowcami w promieniach słońca. Sama nazwa gór z elementem *hima* jest dowodem łączności historycznej języków olbrzymiej rodziny indoeuropejskiej. Po łacinie *hiems* to właśnie „zima”.

Lot z Delhi do Leh dawał już przedsmak obcowania z absolutnie wspaniałą górską naturą i najwyższymi szczytami świata. Taką samą przyrodę obserwował Siddartha, czyli sam twórca buddyzmu przed 2600 laty... My ją oglądaliśmy przez następne dwa tygodnie. Zachwyty i entuzjazm poznawczy w grupie był godzien podziwu, jako że sam pobyt na tych wysokościach wymaga

hartu, aklimatyzacji oraz sporej porcji po prostu zdrowia. Aklimatyzację przebrnęliśmy w miarę bezboleśnie, natomiast sporym regularnym przeżyciem były wycieczkowe przejazdy 3 jeepami, będącymi stale do naszej dyspozycji. W każdym jeepie podróżował kierowca z Ladakhu oraz 5 osób z naszej grupy. W niej utarł się prędko zwyczaj, iż z konkretnym kierowcą jeżdżą te same osoby. Na postojach nie było zatem chaosu i zamieszania.

Górskie drogi

Gwoli dziennikarskiej uczciwości należy wspomnieć o drogach w Himalajach. Są to bardzo kręte, wyboiste trakty, na wysokości 3000-5300 m, zaplanowane jeszcze parę lat temu dla armii i jej terenowych samochodów oraz ciężarówek. Konwoje wojskowe są zresztą normalnym widokiem jak i coraz częściej widoczne samochody i motocykle, wynajmowane przez odważnych turystów dosłownie z całego globu. Dla naszych jeepów była to wieczna „konkurencja” na trasie. Wyminąć szeroką ciężarówkę wojskową to spora sztuka. Droga jest wąska a na jej poboczu od strony doliny nie ma żadnego zabezpieczenia! Nieostrożny ruch kierownicą może spowodować gwałtowne stoczenie się pojazdu niemal w pionie plus minus dwa km w dół. Czasem widać było w dole leżące tam już długo samochody po nieuważnym manewrze. Inaczej mówiąc: drogi w Himalajach, którymi przemieszcza się turysta, są bardzo ryzykowne i niebezpieczne. Jedynie (słuszna!) oraz głęboka wiara w umiejętności wynajętego kierowcy może obniżyć poziom strachu i adrenaliny wydzielanej przez odpowiednie gruczoły u bojaźliwego turysty.

A jeździć tymi bez przerwy krętymi drogami wysoko w górach musi każdy, jako że klasztory buddyjskie były budowane właśnie w oddalonych od głównych traktów górskich zakątkach. Poza tym nie ma tu lotnisk lokalnych ani linii kolejowych. Wiele razy zdawało się, jadąc kilometrami pod górę zakurzonymi wąskimi ścieżkami, iż to niemożliwe - tak wysoko, tak niedostępnie nie mogli mnisi buddyjscy wybudować tak dawno klasztoru! A jednak! Po trudach podróżowania po wertepach himalajskich, czekała na nas nagroda. Nagle, za kolejnym zakrętem ukazywała się „gompa”, czyli cały

kompleks zabudowań. Czekał na nas klasztor, mnisi, turyści, słońce i *last but not least* kontakt z enigmatycznym i fascynującym światem buddyjskiej religijności. Za każdym razem było to dla nas „przebudzenie”, odświeżający dotyk wielkiej religii. Tak, „Budda” znaczy w sanskrycie „Przebudzony”, zatem polskie słowo „budzić się” jest ściśle związane z arcystarym słowem istniejącym w języku hindi.

Leh – stolica regionu Ladakh

Sam Leh jest miastem, gdzie należy się zaaklimatyzować nie tylko płucami z powodu rzadkiego powietrza, lecz również je przyzwyczać do spalin pojazdów mknących lewą stroną (scheda po Anglikach) na kilku centralnych uliczkach. Ulice nie mają chodników. Każdy pojazd może uderzyć przechodnia na przykład bocznym lusterkiem w łokieć. Na poboczach wiecznie tłumy tubylców i turystów. Gdy podniesie się głowę, widać wokół rozciągające się wspaniałe łańcuchy Himalajów, na wschodnim horyzoncie dostrzec można lodowiec. Nasz hotel nazywał się „*Glacier View*” i istotnie, nie obiecywał zbyt wiele: z okien wygodnych pokoi było widać lodowiec. A miasto Leh oferuje od razu wiele atrakcji, bardzo autentycznych i różnorodnych, np. fort wojskowy z muzeum, otoczony murami wyglądającymi jak dekoracje do filmu historycznego.

Od początku opiekował się nami młody lokalny przewodnik, student teologii buddyjskiej, o miłym imieniu Lotos. Na wstępie udaliśmy się z nim do Muzeum Wojska, obok lotniska. Jest to instytucja ściśle militarna o profilu propagandowym, ukazująca historię konfliktów zbrojnych między Indiami a Pakistanem. W parterowym budynku pokazuje się turystom zwycięstwo armii hinduskiej – widać ją po prostu wszędzie w Himalajach na drogach i bezdrożach, gdzie są umocnienia, koszary, stanowiska strzelnicze, kontrole. Osobiście czuję się zawsze bezpieczny w takim kontekście, pilnowany przez zawodową armię. Oficerowie i żołnierze są nadzwyczaj mili i uprzejmi. W muzeum zaakcentowano sukces wojska indyjskiego w roku 1999, kiedy „zimna wojna” przerodziła się na jakiś czas w otwarty zbrojny

konflikt. Do dziś granice między Indiami a Pakistanem nie są ustalone traktatem pokojowym, toteż na samej północy nie są one konkretne. Ani na mapach ani w terenie...

Zwiedzanie regularne zabytków klasztornych w Leh rozpoczęliśmy od niespodzianki. Stupa „*Śanti*”, królująca nad Leh i do której nas zawieziono, jest bardzo nowa, gdyż zbudowali ją buddyjscy Japończycy w 1984 roku z datków wiernych w kraju kwitnącej wiśni. Stupa dominuje wyniośle nad miastem, jest bardzo estetyczna. Ma wielkie rozmiary, dlatego widać ją zewsząd, gdy się jest w centrum Leh. Mniej widać „*Pagodę Pokoju*”, zbudowaną również przez Japończyków. Znajduje się ona nieco poniżej obszernego tarasu pod stupa. Na tym tarasie wykonaliśmy sobie pierwsze pamiątkowe grupowe zdjęcie. Przepyszny jest panoramiczny, dla nas premierowy widok roztaczający się ze stupy. Widać na przykład stamtąd Indus, olbrzymią rzekę, „refren” naszych późniejszych podróży. Indus (w sanskrycie „*Sindhu*”) jest potężny, niesie olbrzymie ilości rozdrobnionych skał, jest mętny, ma niską temperaturę nawet latem i właśnie tu w Ladakh ma swe źródło. Płynie potem do Pakistanu, stanowiąc jego centralną arterię wodną i pokonawszy 3180 km wpada do Oceanu Indyjskiego. Tu w Ladakh, ma on ożywczą, witalną funkcję: wszystko, co jest w Himalajach zielone, leży koło Indusu, rosnąc na lewo i prawo od jego brzegów. Oddalając się od Indusu, obserwujemy teren szary, bury, w każdym razie nie zielony. Bez wody nie ma zieleni także w północnych Indiach. Zielone pasmo wzdłuż Indusu ma szerokość kilkuset metrów. Leh leży w bocznej dolinie, 5 km od głównej osi komunikacyjnej hinduskich Himalajów, czyli świetnej wyasfaltowanej szosy wzdłuż Indusu.

Drugą budowlę, górującą nad Leh, jest Namgyal Tsemo, czyli niegdysiejsza, najstarsza rezydencja królów Ladakhu. Jest to zespół klasztorny, osadzony architektonicznie wspaniale – zaczepiony jak orle gniazdo na stoku góry. Zwiedzamy tam dwa odrębne pomieszczenia: „*gonkhang*”, czyli świątynię bóstw opiekuńczych oraz salę poświęconą przyszłemu Buddzie.

Trzecią i ostatnią dobrze z miasta widoczną atrakcją w Leh jest „*Leh Palace*”, czyli pałac, mający oryginalnie nachylone mury, kojarzące się z analogiczną formułą architektoniczną pałacu „*Potala*” w tybetańskiej stolicy Lhasa. W kategoriach historycznych Lhasa jest stolicą zasadniczego Tybetu (okupowanego przez armię chińską od roku 1950) a Leh jest stolicą Małego Tybetu. Dlatego przywódca duchowy religii buddyjskiej, czyli Dalaj Lama, musiał uciekać z Chin, nie mogąc rezydować w Lhasa.

Oficjalna doktryna komunistycznych z nazwy Chin nie toleruje religii buddyjskiej, stanowiącej ideologiczną konkurencję dla Państwa Środka. Od dawna Dalaj Lama mieszka praktycznie w Indiach w mieście Dharamsala u stóp Himalajów.

Z zewnątrz pałac w Leh wygląda imponująco, wewnątrz mniej. Musi się tam sporo zainwestować, aby dziewięć (sic!) kondygnacji nabrało aspektu atrakcji turystycznej. Na razie panuje tam atmosfera opuszczonego pałacu, jak gdyby od momentu zbudowania tej wielkiej budowli, czyli od roku 1530, przez króla Sengge Namgyala, ubywało tu stale wdzięku. Pokoje, puste, raczej nieprzytulne spartańsko urządzone pomieszczenia nie zapraszają do dłuższego pobytu, jako iż hula tu wiatr. Latem 2014, o dziwo, była tu spora atrakcja: dzięki Ambasadzie Republiki Czeskiej przez kilka tygodni pokazywano w pałacu wystawę fotogramów, ukazujących najpiękniejsze zamki w regionach turystycznych naszego południowego sąsiada. Sam ambasador przybył osobiście z Delhi do Leh, inaugurując ekspozycję i piękne fotografie, wiszące w sali, przypominającej dość ponury ale w miarę zaadaptowany strych.

Stare klasztory buddyjskie

PIYANG – docieramy do tego klasztoru najpierw wygodną szosą wzdłuż Indusu. Ale kiedy się skręca w kierunku gór, zaczynają się problemy, czyli wąskie trakty, sporo kurzu, karkołomne mijania jadących pojazdów w drugą stronę. Ale nasi kierowcy są do końca pobytu wspaniali na asfalcie i bez.

„Gompa” w wiosce Piyang stoi paradnie na skalnym wzgórzu, dominując swą piękną sylwetką, chociaż tkwi wśród jeszcze wyższych gór. Dookoła kamienna pustynia. Tylko już z góry, patrząc od klasztoru w dół, widzimy zieleni, dokąd dociera irygacja z Indusu. Fasada wielkiego klasztoru jest bardzo symetryczna, niemal barokowo, regularna swą rozległą ścianą. Zwiedzamy kompleks budynków, chodząc obok płaskich dachów, zbudowanych porządnie z gliny. Drzwi do samej „gompy” polakierowane na czerwono są zamknięte. Ale podziwiamy stare i kunsztowne okucia na nich. Łączą one tradycyjnie same drzwi z progiem i jest to zawsze dzieło sztuki - piękny wytwór rzemiosła metalowego. Żegna nas brama wjazdowa, finezyjnie zdobiona, zadbana. Na jej szczycie złota „kalaczakra”, czyli „koło życia”, starodawny symbol w Indiach. Koło ma 16 szprych i można ten symbol podziwiać na narodowej fladze Indii na środkowym białym polu. Tu w Piyang, pozłoczone koło jest obserwowane przez dwa klęczące jelenie. One są też pozłoczone, przypominając kazanie Buddy właśnie do nich – jak chce legenda.

LIKIR – wreszcie po wielu trudach i zakrętach docieramy i tu. Z dala cieszymy oczy widokiem przepięknego klasztoru na wysokim wzgórzu. Niestety! Mamy pecha. Nie zobaczymy tej świątyni. *Vis maior*. Na ostatniej serpentynie przed wsią zatrzymuje nas patrol policji. Wszyscy policjanci w Indiach są chudzi, mają marsowe miny i trzymają długie pałki drewniane jako symbol władzy. To kojarzy się z europejskim niegdyś berłem lub buławą. Zdecydowanie nie wpuszcza policja naszego mini-konwoju trzech jeepów. W powietrzu czuć poruszenie i atmosferę podniecenia. Wieś, drogi, drzewa i domy są pięknie przystrojone, głównie kolorowymi chorągiewkami. Dlaczego? Dzisiaj w Likir przebywa sam Dalaj Lama, wyjaśnia policjant – czego oczywiście nie wiedzieliśmy. A szkoda. Z powodu Jego Świątobliwości nie zobaczymy piękna wewnętrznego klasztoru w tej miejscowości. Dalaj Lama, obok Indusu, będzie zresztą drugim refrenem naszej peregrynacji w buddyjskim Ladakhu.

INDUS + ZANSKAR – już wspominałem o „refrenie” wodnym tej wyprawy. To Indus. Największe wrażenie zrobiło na nas spotkanie się Indusu

z mniejszą rzeką Zanskar. *Primo* oglądaliśmy miejsce, gdzie się wlewa Zanskar do Indusu, z bardzo wysokiego miejsca przy szosie, po prostu kilkaset metrów nad przepaścią. Widok jak z helikoptera! To robi dodatkowe wrażenie. Ludzie tam na dole u zbiegu dwu wielkich rzek wydawali się jak zabaweczki. *Secundo* obserwowaliśmy niebywałą harmonię i syntezę dwu barw i struktury wód. Indus ma zupełnie inny kolor niż Zanskar, niosąc też ze sobą inny piach i cząstki skał. Jedna rzeka jest bardziej mętna niż druga. Dwa różnorodne żywioły łączą się na zawsze w nową jakość... Poza tym miejscem widzieliśmy wielokrotnie Indus, jadąc wzdłuż jego doliny lub przekraczając mosty, całe udekorowane modlitelnymi chorągiewkami, zasłaniającymi fascynujący pejzaż Himalajów w północnych Indiach.

ALCHI – słynny kompleks świątynny czterech religijnych pomieszczeń nad samym Indusem, ciągle wszechobecnym w regionie Ladakh. Wadą sal modlitewnych z punktu widzenia turystów jest często marne oświetlenie oraz ogólny zakaz fotografowania wewnątrz. Staram się w relatywnej ciemności dostrzec piękno fresków, malowideł, posągów w pierwszym klasztorным pomieszczeniu. Są bardzo stare, niosąc głębokie treści religijne. W drugiej sali są niemniej frapujące freski formalnie naśladowujące „tankhi” lub wzory klasycznej „mandali”. Mają one odzwierciedlać teologię buddyzmu, etapy życia samego twórcy tej religii, legendy oraz ilustrowane wizje opowiadające wiernym fazy rozwoju tej doktryny. Przechodzimy w skupieniu, zostawiwszy jak wszędzie buty przed progiem, czyli chodząc w skarpetkach lub boso, wokół „ołtarzy” w następnych pomieszczeniach: Lotsa Temple oraz Manjushree Temple. Robimy to oczywiście zawsze z lewej strony na prawą lub „według wskazówek zegarka”. To zasada ruchu, znana wiernym buddystom, tak samo krążącym wokół stupy na wolnym powietrzu. Jesteśmy w Azji, gdzie prawa ręka jest prawidłowa i „czysta” a lewa jest „brudna”. Wychodząc z klasztoru, widzę płaskie kamienie, rzeźbione, z napisami w języku tybetańskim, ułożone na stosie przed wejściem do pierwszej świątyni. Na niektórych jest wryta swastyka. Jest ona prastarym symbolem dobrobytu i szczęścia w Indiach. Swastyka (słowo sanskryckie) szokuje przybyszów z innych rejonów świata, szczególnie z Europy, gdzie została

niemal zbeszczeszczona przez Hitlera, który ją spostponował graficznie i ideologicznie. Wielka szkoda, gdyż ma ona historycznie jedynie oryginalne konotacje, przypominając w swej stylistyce dynamiczne promienie słońca. Każdy kto był w Indiach, widział wielokrotnie swastykę wymalowaną przez chłopów na swych chatach lub jako nalepkę plastikową (sticker) przy kierownicy rikszarza w miastach. Odwracam się i podziwiam fasadę pierwszej świątyni w Alchi. Ma ona oryginalną konstrukcję drewnianą. Jest to portal, dźwigany przez równie drewniane kolumny. Na nich płaskorzeźby w trójkątach, kojarzącymi się z tympanonami greckich lub rzymskich świątyń.

Kontrasty 1 lipca 2014

Mam na myśli po pierwsze niebywale skomplikowaną drogę do klasztoru RIZONG. Leży on 76 km od miasta Leh. Należy jechać najpierw wzdłuż Indusu a potem odbić w górę. Łatwo powiedziane. Cały czas pokonujemy coraz bardziej karkołomne wiraże. Panujące w głowie prawo zachowania życia każe zamykać oczy, odwracać głowę od przepaści, zaczynających się parę centymetrów od krawędzi drogi bez asfaltu. Dla wielu horror. Niektórzy z grupy modlą się cicho. Ciekawe, do jakiego boga... Po kilkunastu kilometrach docieramy wreszcie do „*Rizong Gompa*”. Uff...

Klasztor leży na 3450 m i kontrastowo jest stosunkowo nowy a nie stary jak dotychczasowe, zwiedzane przez nas. Został zbudowany dopiero w 1833 roku przez lamę Tsultim Nima. Mieszkał tu z rodziną. Na końcu przepięknej, lecz niebezpiecznej drogi górskiej stworzył architektoniczny kompleks budowlany, wedle zaleceń samego Buddy. Jest tu brama wejściowa, wielki kompleks klasztorny. Oznacza to wzrokowo sporo budynków ciasno tkwiących malowniczo obok siebie na stromym stoku oraz cele mnichów w bordowych szatach, osobne pomieszczenie na kuchnię oraz grootę specjalnie wkomponowaną w załomie góry dla medytacji. Tsultim Nima miał syna, który został rozpoznany jako *tulku*, czyli kolejna reinkarnacja Dalaj Lamy. Niestety, zmarł, mając ledwie 30 lat. To nam opowiada nasz przewodnik Lotos, podróżujący z nami po Himalajach.

Już wspominałem, iż nie wolno fotografować wewnątrz klasztornych. A kontrastowo w Rizong pozwala się na ten rytuał turystyczny. Nareszcie uwieczniamy posągi na ołtarzach, ozdoby, podarunki (czarki, butelki, pieniądze), szafy z księgami modlitewnymi, zawiniętymi jak paczki, całą intrygującą architekturę. A najważniejsze - robimy zdjęcia wiernych. Wchodzą, pozdrawiając rytualnie swego boga, czyli ubóstwianego Budde. Z czasem bowiem twórca buddyzmu stał się obiektem boskiej adoracji. Wierni zapomnieli, iż na początku istnienia religii był to system obywający się bez Boga... Wierni padają najpierw na kolana, potem kładą się krótko na deski podłogi. Wstają i znowu padają, powtarzając ten rytuał trzykrotnie, rozpoczynając swe modły od dosłownie czołobitnych gestów. Przypomina to nabożeństwo islamskie w meczecie, gdzie wierni też dotykają czołem podłogi (dywanu).

LAMAYURU – to kontrastowo bardzo stary klasztor, bajkowo pięknie położony wśród Himalajów. Góry stworzyły tu swoisty spektakl form, wcięć, załamów, stożkowych tworów. Można jedynie banalnie porównać je do księżycowego krajobrazu. Szkoda, iż nie jesteśmy tu przy pełni księżyca! Wyobraźnia pracuje! Natomiast my zaczynamy wizytę w słynnym Lamayuru w promieniach olśniewającego słońca. Nie mamy powodu narzekać! I tu zakosztujemy w dodatku absolutnie niesłychanej atrakcji o walorach kosmicznych (?). W intensywnych promieniach słońca, nie ulegając halucynacji zbiorowej, nie zaobserwowawszy nigdzie ani małej chmury ani tym bardziej kropel deszczu, widzimy wyraźnie piękną okrągłą tęczę otaczającą samo słońce! Niewiarygodne! Zgodnie wyznajemy sobie, iż nikt z nas nie spotkał jeszcze takiego fenomenu: okrągła tęcza otaczająca w południe słońce na bezchmurnym nieboskłonie!

Wchodzimy do klasztoru, poruszeni zaobserwowanym zjawiskiem nadnaturalnym(?). Klasztor jest znany swą historią, gdyż jest bardzo stary. Jego najstarsze części pochodzą z XII wieku. Warto tu było fatygować się. Wnętrza urzekają tradycyjnie powtarzanym schematem: kolumny, ołtarz, siedzenia boczne dla mnichów, ławy z ofiarami. Słowo o banknotach,

widocznych wszędzie, wetkniętych w szczeliny posągów, do naczyń. Wydaje mi się, iż ta forma pomocy dla mnichów bardzo się rozpowszechniła. Przed laty – wedle moich subiektywnych obserwacji – nie było tyle ofiar wiernych w papierowych rupiach. Tym lepiej dla mnichów i propagowania ich pokojowo nastawionej religii...

W jednym pomieszczeniu asystujemy przy modlitwie mnichów. Jest ich dwóch. Siedzą obok siebie nisko w kucki na podłodze. Starszy przewraca strony modlitewnika na ławie, bębniąc rytmicznie pałeczką o kształcie znaku zapytania w coś, co przypomina większy tamburyn. Drugi młodszy śpiewa bardzo nisko frazę muzyczną. Po europejsku mówiąc, robi to wrażenie pomruku, *basso continuo* w azjatyckim stylu. Doceniamy modlitewny koncert duetu, podziwiając przy okazji stare pomieszczenia klasztoru, dzisiaj zwieńczonego na niebie piękną i niespodziewaną tęczą. Przy bramie zaczyna z nami rozmowę stary mnich. Pyta łamaną angielszczyzną czy spostrzeżliśmy okrągłą tęczę. Odpowiadamy, że tak. Dajemy dowód naszemu zdziwieniu. On nam wyjaśnia, iż ten fenomen absolutnie rzadki zawdzięczamy pobytowi Dalaj Lamy w Ladakhu. To na cześć Jego Świątobliwości tak specyficznie zareagowały niebiosy!

Nie tylko gompy

Bardzo pięknym przykładem architektury świeckiej w okolicach doliny Indusu jest miejscowość STOK. W Stok można zwiedzić królewski pałac, wybudowany w roku 1820 przez króla Tsepal Namgyal. Dominuje podobnie jak inne budowle sakralne nad doliną Indusu. Jest o parę kilometrów oddalony od tej głównej doliny. Wizyta kosztuje 50 rupii, czyli 3 PLN... Pałac dysponuje obszernym podwórcem, gdzie zainstalowano zupełnie miłą kawiarnię. Fasada jest imponująca czystością stylową, wdziękiem, kryjąca wiele ciekawostek. Przez podwórzec wewnętrzny wchodzimy do kolejnych sal na poszczególnych kondygnacjach. Można w nich nauczyć się historii nowożytnej regionu Ladakh. Był on samodzielną jednostką administrowaną przez lokalne władze w XIX wieku. Przechodzimy przez kolejne sale.

Spotykamy w nich niepokazne witryny, szafy, w których oglądamy klejnoty królewskie, insygnia, stroje króla i jego żony, przedmioty należące do nich, rekwizyty władzy. Można zagłębić się w modlitwie w maleńkiej buddyjskiej kapliczce, a przy okazji podziwiać widoki przez okna. Są to momenty, kiedy nie żałuje się, iż przybyło się do odległych Himalajów, kojarzonych z trudami męczących podróży. W osobnej sali ukazują się poszczególne obiekty sławnej kolekcji, ukazującej 40 sztuk bardzo starych *tankha*.

Kalaczakra nr 33

To wielka uroczystość, związana z pobytem Dalaj Lamy w Ladakh. Wierni z Azji i z innych kontynentów zgromadzili się w wiosce CHOGLAMSAR, 14 km oddalonej od Leha. Tkwimy w sporym tłumie, kontrolowanym przez policję. Sami otrzymaliśmy już w hotelu specjalne zezwolenie, aby uczestniczyć w uroczystości. Kontrole jak na lotnisku. Ratuja nas legitymacje na taszemce, zawieszane na szyi. Na dokumentach są fotografie. To ułatwia przebrnięcie przez sita kolejnych punktów kontroli. Przybywamy późno i widzimy jedynie konwój samochodów, eskortujących odjeżdżającego Dalaj Lamę. Niestety. W upale i kurzu dwóch mężczyzn w garniturach i krawatach biegnie obok jego pojazdu oddalającego się od nas.

Następnego dnia, 6 lipca mamy więcej szczęścia. Widzimy i słuchamy Dalaj Lamę w trakcie spotkania porannego w Choglamsar. Mówi o pokoju a oglądanie jego ma swoisty charakter: Przywódca buddyzmu ma dzisiaj, 6 lipca, urodziny! W duchu życzymy mu 100 lat! Akurat dzisiaj kończy 79 lat. Urodził się jako Tenzin Gyatso, stając się przywódcą buddystów. W wieku dwu lat został odkryty jako kolejny lama. Po mongolsku „dalaj” znaczy „ocean”, a „lama” – to po tybetańsku „*duchowy nauczyciel*”.

Wzdłuż wiecznego Indusu

HEMIS – jest to absolutnie konieczna wizyta dla turystów na trasach klasztorów buddyzmu w Himalajach. Hemis jest centralnym klasztorem,

administrującym ponad 200 innych miejsc kultu buddyzmu (*mahayana*) w Himalajach. Oglądamy ten wspaniale położony obiekt w pełnym słońcu, co dodaje uroku syntezie gór, skał, architektury, czystego powietrza i bezchmurnego nieba. Sam klasztor był gotów w roku 1258 i od tamtego czasu promieniuje swą sławą, jako iż skupiał świetnych propagatorów buddyzmu. Przykładowo w XVI wieku działał tu Ngawang Gyatso, główny „kaznodzieja” klasztoru, zwany po tybetańsku Taktsang Shambunath, a w języku Ladakhu Staktsang Raspa. Został on nauczycielem królewskich dzieci, jako iż rozwijał swą działalność również na dworze w Leh, gdzie rządził już wyżej wspomniany król Sengge Namgyal, budowniczy pałacu w stolicy Ladakhu. Sam mnich (i jego kolejne reinkarnacje) stał się duchowym guru królów w Leh i ich potomków. W poszczególnych salach klasztoru, w tłumie turystów z całego świata, podziwiamy zestaw ornamentacyjny, towarzyszący tradycyjnie wyposażeniu: sztandary, tankhi, naczynia, ofiary. Dużą atrakcją jest muzeum przyklasztorne, gdzie umieszczono cenne stare pamiątki w wielu salach. Akurat jest tu ekipa pracowników, prowadzących renowację pomieszczeń i mebli. Jest to konieczne dla lepszej percepcji eksponatów i ich konserwacji, jako iż mogą łatwo ulec zniszczeniu. W kiosku przy muzeum mnisi sprzedają wiele interesujących pamiątek z Małego Tybetu.

THIKSE – dominuje ten zespół klasztorny nad całą doliną Indusu, z tym iż wznosi się nad nią „wyspowo”. Dookoła rozpościera się zielona dolina, a pośrodku niej wyrosło to skalne wzgórze. Znowu wdrapujemy się mozolnie, tym razem po wygodnych lecz stromych schodach. Jest ich jednak sporo, co w syntezie z upałem stanowi turystyczną przeszkodę. Ale nie dla polskiej grupy żadnej wrażeń. Przy schodach wiodących do sal świątynnych kwitną malwy, upiększając pejzaż wokół. A ten pozwala w skali stereo docenić zamysł architektoniczny anonimowych budowniczych sprzed wielu lat. Widoki są panoramiczne i pozostaną po prostu niezapomniane przez swą egzotykę. Wielki złoty Budda żegna nas tajemniczym wzrokiem, spoglądając jednocześnie na rzesze wiernych, bijących przed Nim pokłony, wchodząc do świątyni a potem żarliwie się modląc. Mijamy grupy mnichów ubranych tu tradycyjnie w swe habity o kolorze czerwonego wina. Mnisi tradycyjnie

z obnażonym prawym ramieniem, są bardzo młodzi oraz wiekowi. Kiedy ci ostatni idą powoli po zalanym słońcem podwórku, a wierni podchodzą do nich i schyliwszy się, całują ich w rękę. A gdy opuszczam wysoko położoną świątynię, widzę przy ołtarzu młodziutkiego mnicha (mającego 8 lub 10 lat?), pochylającego ogoloną głowę nad ofiarami i zbierającego skrzętnie banknoty. Schylony, układa je starannie na swej dłoni, poprawiając na nosie opadające słoneczne okulary.

Jezioro Pangong

Ostatnią wyprawą zaiste wysokogórską była wycieczka naszymi trzema jeepami do jeziora Pangong (*Pangong Tso*). Trudna ekspedycja, zważywszy na różnice poziomów w Himalajach. Drogi przebiegają wedle ustalonych dawno reguł komunikacyjnych, toteż aby dotrzeć z Leh, leżącego na 3500 m, należało wspiąć się najpierw na przełęcz Chang-La na 5360 m, gdzie w szczelinach, na poboczach leżał stary śnieg i panowało nader rzadkie powietrze oraz dął orzeźwiający wiatr. Robimy sobie obowiązkowe fotografie przy stupie ozdobionej modlitewnymi chorągiewkami oraz przy blaszanej tablicy, mówiącej jak wysoko się wznieśliśmy. Zjeżdżamy teraz na wysokość 4270 m. To poziom jeziora. Trzeba oczywiście pokonać niezliczone zakręty, mijanki, przeczekać postoje o niewiadomym pochodzeniu. Tylko kontroli wojskowych jest o wiele mniej w indyjskich Himalajach, niż kiedyś. Wreszcie widzimy przepiękne, majestatycznie od świata oddalone jezioro. Jest słynne z tego, iż ma jednocześnie trzy kolory: niebieski, zielony oraz malachitowy. A poza tym jego wschodni skraj leży już za granicą - w Chinach.

Naturalnie kąpiel w Pangong Lake jest zalecana jedynie tym, którzy trenowali już w wodach Islandii lub Bałtyku zimą. Noc spędziliśmy w wygodnych namiotach, wokół których panowała temperatura +2C. Widoki, czyli szczególnie mieszanka barw gór, wody, nieba oraz kamieni na „plażach”, są uwiecznione odtąd na niezliczonych zdjęciach i w głowach turystów. Następnego dnia wracamy do bazy, czyli do miasta Leh, do hotelu. Znowu pokonujemy tę samą trasę: 170 km dystansu w 8 godzin, jako iż jest to realistyczne tempo w Himalajach, żegnając wzrokiem stupę na Chang-La.

Na koniec

{1} Pragnę zwrócić uwagę na rozbieżności w transkrypcji nazw miejscowych w Ladakh. Przykładowo pisze się „Thikse” albo „Thiksay”. Spotykałem też oboczności „Namgyal” lub „Namjal”. O ile orientuję się, nie ma jeszcze precyzyjniejszych ustaleń w pisowni angielskiej wyrazów języka mieszkańców himalajskiego regionu Ladakh.

{2} Parę wieczorów poświęciła grupa w hotelu na wysłuchanie dżataków, czyli bajek, legend buddyjskich, tkwiących w kanonie „pedagogicznym” buddyzmu. Towarzyszą one wiernym, usiłując im przekazać treści, jakie winni zaakceptować, by wreszcie wydostali się z kręgu cierpienia. A do tego prowadzi 8 ścieżek, co jest podstawą nauk doktrynalnych buddyzmu. Antologię dżataków, przedstawionych w Leh, wzięliśmy z bardzo starannie, wręcz bibliofilsko wydanej edycji „Girlandy Dżatak”, Janusza Krzyżowskiego, Warszawa 2010.

{3} Na samym końcu pragnąłbym podziękować organizatorom tej bardzo pouczającej wyprawy w egzotyczne Himalaje oraz wszystkim uczestnikom, bez ustanku usiłujących poznawać nie tylko buddyzm w jego dzisiejszej wersji w regionie Ladakh, lecz również pałających chęcią pogłębienia wiedzy o szeroko pojętym współczesnym życiu Indii.

{4} Niniejszy tekst nie ma oczywiście ambicji bycia obiektywnym, całościowym sprawozdaniem wyprawy, którą każdy uczestnik przeżył na swój sposób.

{5} Nasza podróż grupowa rozpoczęła się w Warszawie, 26 czerwca 2014. Wylecieliśmy z Okęcia do Dubaju, tam nocne oczekiwanie na następny lot do New Delhi. Po dniu lot ze stolicy Indii do Leh. Po dwu tygodniach powrót identyczną trasą Leh – Delhi – Dubaj - Warszawa 10 lipca 2014.